NUMER 17. DNIA 26-go KWIETNIA 1903 ROKU ROK XI

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Z lasu.

Cisza.

Ciszo ty leśna, szumem bujnym rozśpiewana,
słucha cię wielka rzesza drzew w czujnem skupieniu,
słuchają mchy, paprocie, skryte kędyś w cieniu,
słucha młódź leśna, wiotka, tchem twym kołysana.

I ja słucham... Poznaję słowa cichej gwary, —
jakieś tam skargi dyszą, szeptania, narady
różnolistnej, wytrwałej, twardej w pniu gromady,
co czołem pnie się w niebne, słoneczne bezmiary.

Słyszę, jak kora pęka, rozsadzana mocą,
idącą z ziemi łona... szepty młodych liści,
słyszę, jak życie wiosną prawe cuda iści...

Rozpadanie też pruchna słyszę... Ach i nocą,
kiedy niebo otworzy swe gwiaździste oczy,
słyszę, jako rdzeń żywy wstrętny robak toczy!

Burza.

Warknęły kędyś w dali pierwsze groźne działa
burzy, co nie przyjmuje pokoju przymierza,
lecz leci huraganem, w pierś lasu uderza,
jako ta piorunowa płomienista strzała.

Pędzą chmury, wiatr huczy, grzmot bije za grzmotem,
las pociemniał, — w obronie szamocze się, zgrzyta,
pierwszy szereg oburącz nawalnicę chwyta
i odrzuca w głąb ciemną z trzaskiem i łoskotem!

Jęczy ziemia zbolała szarpaniem korzeni,
drży w posadach... już dzieci utrzymać nie może,
już się walą, jak ścięte, na śmiertelne łoże,

słane burzą z kul gradu z piorunnych płomieni.
Ścichło wreszcie... Las powstał, liczy straty, rany
w glorji tęczy rozbłysnął... on, niepokonany!

Ustronie.

Kędyś w gąszczu, w ukryciu, w mrocznej głębi lasu,
polana rozłożyła kobierce zieleni,
srebrne źródło wytrysło z szmerem wśród kamieni,
leszczyna zwartem kołem czyni kształt szałasu.

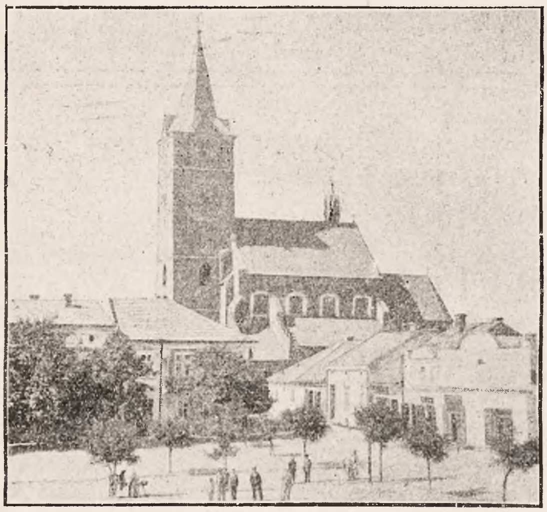
W pośrodku rozłożysty dąb stanął na straży,
przesiewając przez liście złote słońca pyły...
Nagle — w wizji — się głowy jakieś pochyliły,
jakiś się w mnogich oczach płomień święty żarzy,

jakieś się białe ręce wzniosły ponad głowy,
szum lasu jakieś echa przywiał, wielkie głosy,
uroczystą melodję, tentent, szczęki kosy...

Okrzyk zagrzmiał... hej silny, mocny, strzechowy!
Znikła wizja... Znów cichy szum idzie po borze,
tylko krzyżyk się czerni wycięty na korze...

Zofja Poznańska.

PILZNO.



Rynek w Pilznie.

Z LITERATURY O PILZNIE. Dr. Wisłocki. „Kodeks Pilzneński ortylów magdeburskich", Artykuły w „Starożytnej Polsce", „Słowniku geograficznym" itd.

Mała dziś i zapadła mieścina na Podgórzu karpackiem, w dawnych wiekach rodzicielką była uczonych mężów swego narodu i ojczyzny. Jakby myśl humanistycznego wieku usiadła nad miastem. Rodzi się z niej Martinus Pilsnensis, szesnaście razy rektor *Almae matris* Jagiellońskiej, cnotliwy a sławny Sebastjan Petrycy, lekarz wielkiej wiedzy, Szymon Górzycki, poeta, oraz Szymon Marycki, głośny publicysta i uczony szesnastego stulecia. Nic zresztą dziwnego ta mnogość mężów uczonych. Wszak z niedalekiego Krakowa płynął najbystrzejszy podówczas strumień oświaty i cywilizacji, światło Akademji wielkiej, do którego garnie się nawet lud prosty.

Sama nazwa miejscowości, dziś często powód nieporozumień, będąca prawdopodobnie wywodzi się od Pilzna czeskiego. Tak przynajmniej utrzymuje Kromer, pisząc o osadnikach czeskiego pochodzenia, których sprowadzić miał Kazimierz Wielki w celu zaludnienia kraju po wojnach i morowem powietrzu. Zdaje się jednak, że nietylko Czesi, ale także sąsiedzi bliscy, Węgrzy, Niemcy i t. p., zaludnili obszar, wałem ziemnym opasany, a przywilejami królów polskich i prawem magdeburskiem rządzony. Przywilejów tych ongi posiadało Pilzno, tak samo, jak i zresztą każde miasto, bardzo wiele. Każdy nieledwie król, wstępując na tron, potwierdza stare nadania, przydając do nich nowe jeszcze. Kancelarja królewska była niewyczerpanem źródłem dyplomów, które pierwotnie niosły naprawdę dobrobyt na gockich swoich literach i pieczęciach; później jednakże martwym już tylko były dźwiękiem, pustemi ramami, z których życie w innym uszło kierunku. Za czasów Kaźmierzowskich jednak Pilzno, darzone prawdziwą opieką królów, jak formalnie zrównane było co do swobód mieszczańskich z Krakowem, tak też dobrobytem i zamożnością stawało w rzędzie większych miast polskich. Ze szczegółów, które przechowały przywileje, można nabrać wyobrażenia niejako o treści miasta i jego mieszkańców. A więc była w Pilznie łaźnia, jatki piekarskie, szewskie, rzeźnicze, tkackie i prasolskie, rury podziemne i wodociągi, dwa jarmarki i ożywiony ruch handlowy z Węgrami. Z ogromnych składów win węgierskich rozchodził się płyn ów po całej Małopolsce i dalej jeszcze, miedziane i mosiężne wyroby rzemieślników pilzneńskich rozchodziły się szeroko, w całym kraju bardzo poszukiwane i cenione.

Samo miasto, fundowane na pagórku niedaleko Wisłoki, żyło spokojnie w otoczeniu swych ziemnych wałów, modliło się w czterech kościołach: farnym, Augustynianów, św. Ducha i czwartym jeszcze drewnianym, sądziło swe sprawy na ratuszu w środku rynku; a mieszczanie, obok rzemiosła, uprawy roli na łanach miejskich, palili nadto gorzałkę, nie oglądając się zresztą wcale na zakazy królewskie. Dopiero zewnętrzne przyczyny podcięły dobrobyt miasta i sprowadziły obywateli jego, tak samo jak i całe mieszczaństwo polskie, do zupełnego zaniku. W r. 1474 Węgrzy złupili miasto doszczętnie; w czasie wojen szwedzkich, za Jana Kazimierza, uczynił to samo żołnierz Rzeczypospolitej, a do

konali dzieła zniszczenia Szwedzi, paląc miasto doszczętnie.

Z historji Pilzna zaznaczyć jeszcze należy fakt wywołania z niego żydów. Stefan Batory polecił w r. 1577 wyrugować żywioł żydowski z miasta i zabronił im osiedlania się tak w mieście, jak i w okolicy. I odtąd przez długie lata żydzi z daleka trzymać się musieli od Pilzna, a jeszcze lustracja z r. 1629 zaznacza, że „domy po żydach pusto stoją.“

Przed samym rozbiorem Polski miasto znajdowało się w posiadaniu Stanisława Pinińskiego.

Ostatnia lustracja z roku 1765 przedstawia opłakany stan miasta: „Domów ośmdziesiąt dwa — wagi i postrzygalni nie masz, ratusz murowany na środku rynku, mocno nadrujnowany, jednak, poprawiwszy, byłaby i ozdoba miasta i wygoda sądów i konserwacja ksiąg bezpieczna... Przeto staroście, aby ratusz jaknajprędzej wyreperował, zalecamy.“

WŁADYSŁAW ORKAN.

POMÓR.

POWIEŚĆ.

(6)

(Prawo przekładu zastrzeżone.)

— A kiedyż będzie obiad? — zbaczyła mała Anielka.

— Mamo! — przyłączył się i Waluś.

— Bedzie, bedzie wnet, jak ino słonko się skryje...

— A cóż to słonko wadzi?

— Dużo wadzi, bo nie da wieczorowi nadejść...

— To aże wieczór! O-jej! — poczęło się labiedzenie i na pół płacz, co jednak prędko ustało, bo do izby wszedł człek obcy. Dzieci poczęły mu się przyzierać ciekawie i szły za nim oczami z trwogą, gdy się ku matce przybliżał, niespokojnie przyzierały się z boku, gdy mu matka garść mąki z dzieży udzielała, a potem już bezpiecznemi spojrzeniami odprowadzały go do drzwi i przez okno jeszcze, za osiedle.

— Hej! Boże! — westchnęła Salka.

— Mamo! Kto to? Dziadek? — dopytywała Anielka.

— Taki duży i nie umie robić, ani pacierza nie umie — mówił Józek.

— Proś Boga! — upomniała matka. — Bo człowiek nigdy nie wie, na co może przyjść, na jaką nędzę...

— Jaby do ludzi poszedł i robiłbych, toby mi jeść dali.

— A jakby też nie dali?

— To... tobych się wrócił.

— Oj, dziecko, dziecko! — z politowaniem serdecznem poczęła, ale nie miała czasu dalej mu tłómaczyć, bo się poczęły gęste odwiedziny.

Osiedle ich, Jamrozowe, było zdala od wsi, wyżej — to żebracy, przeszedłszy wieś, dochodzili tu właśnie w południe. Szli różni, różnego wieku; jedni mieli ułożenie istnych od lat dziadów, drugich — widać po nich było — dopiero co bieda z gruntu wyważyła i pchnęła na chałupy; ci nieśmiało wchodzili i oczami, martwemi już z przebytych cierpień, opowiadali historje swoje. Tekli się serce ściskało okrutnie — często ujrzała znajome oblicze gazdy znacznego dawniej lub gaździny — nie śmiała słowem łagodnem zapytać, jak do tej nędzy ostatecznej doszli, bała się nawet, by w oczach jej tego pytania nie dostrzegli. I wstyd ją nieraz obiegał płomieniem, że ona jeszcze ma jakie takie dobro, a ci żebrzą, i często wprost nie śmiała dać tej garści mąki, widziało jej się, że to krzywda i niesprawiedliwość, żeby ona całą dziezkę miała, gdy ci nie mają nic — a tu jak po więcej dawać, kiedyby na dzień nie starczyło? — i wtedy zwracała się do Salki, niby czemś zajęta:

— Daj ty, mojaśty, bo ja nie mam czasu.

I odwracała twarz od przychodzących, aby nie spotkać oczów, nieraz tak rozpacznych, że wić się z żalu...

Koło śródwieczerz ustała ta procesja prze-

smutna. I widziało się, że się powała podniesła, tak się stało wolniej po tej chmurze, która nad duszami przeszła, prostowały się, jak źdźbła po ulewie, jeno im ciężyły jeszcze krwawe łzy litości, jak ciężą kłosom krople deszczu, przez wiatr niestrzepane. Ale dużo lżej się stało.

Najsmutniejsze godziny dnia przeszły. Trwożyła się ich zawdy Tekla, bo raz, że ujmowały jej szczupłe ostatki — a wtóre niosły z sobą tyle bolesnych świadectw życia, że mogły duszę, tonącą już w trwodze, na śmierć rozpaczną, beznadziejną otruć...

Przecie minęły. Co ostało z nich obcości w izbie, to czas następny połknął i dzieci rozgwarem swym czasowi pomogły.

Przyszła im znowu pamięć o obiedzie. Ledwo je matka zdołała ulegować obietnicą świętą, że na wieczerzę dostaną to, co miały dostać na obiad.

Salka poczęła się za niemi wstawiać.

— Ja zapalę, to im się zwarzy co wcześniej.

— Gniewałby się, jakby wrócił. I tak dziś mąki ubyło sporo. Mnie samej tak ich żal, że powiedzieć się nie da, a co będę biedna robić? Darmo. Trza się na gorsze sposobić. Potem dzień dłuższy nastanie — cóż począć, jakby brakło tego ostatka, broń Boże! Już nawet myśleć się boję... Teraz ta jeszcze mogą wytrwać. I w jesieni się zazwyczaj dwa razy na dzień gotuje...

— Ale też dzień dużo mniejszy. I owocem się zawróżą...

— Że też ty o sobie nie wspomnisz nawet przez omyłkę! A za dziećmi się ujmujesz...

— Bo cóż ja? Cóż mi się haw dzieje? Śmiechby był, żebych się sobą trapiła...

I tak dalej mówiły ze sobą.

Dzieci, uspokojone przyrzeczeniem matki, już się przestały naprzykrzać; to tylko Waluś i Anielka, bo Józek w mniemaniu swem za duży był na to, aby się miał o obiad głośno dopominać. Teraz im obojgu powtarzał z przechwałą:

— Aha! Nie na moje wyszło?

— Nie na twoje!

— Obiadu nie bedzie...

— A zaś bedzie na wieczerzę.

— To bedzie wieczerza, a nie obiad.

— Co ty wiesz! Przecież mama powiedzieli.

(C. d. n.)

WALERJA MARRENÉ MORZKOWSKA.

GENERAŁ MAŁLETSKI

(ZE WSPOMNIEŃ RODZINNYCH). (3)

Dopiero w wieku rozsądku, gdy ojciec nie żył oddawna, byłam w stanie ocenić, jakim dowodem miłości z jego strony był trud, podjęty dla zadowolenia nierozsądnej zachcianki. Wówczas nie przyszło mi to do głowy, bo przywykłam do tego, że robił zawsze to, com tylko chciała. Dość powiedzieć, że przebierał się nawet w różne kostjumy, gdy przyszła mi taka fantazja. Miał więc gorące, miłujące serce. Ale ja zrozumiałam to zapóźno, jak zwykle rozpieszczone dzieci. Ojciec, z powodu swojego cudzoziemskiego pochodzenia i wieku, wydawał mi się osobistością odrębną, którą kochałam, jako należącą do mnie, ale z którą nie wiązało mnie uczucie miłości i zaufania, jakie miałam dla matki.

* * *

Ojciec mój urodził się w Marsylji, w którym roku, tego nie mogłam się w papierach jego doszukać. Jedyną pewną datą jest pamiętny rok 1794, w którym ukończył w Metz wyższą szkołę inżynierską i wszedł do wojska. Naturalnie, iż w czasie terroryzmu opuszczano przy jego nazwisku szlacheckie: „de Grandville“. Zwał się po prostu obywatelem Mallet. Awans w owym czasie był szybki dla ludzi odważnych, zdolnych i energicznych. Mój ojciec uczestniczył w kampanji włoskiej, w szturmie i wzięciu Peschiery

w roku 1797, a w rok później pod Mantuą został ranny w nogę. Awansował rok po roku na podporucznika i porucznika, a w roku 1800 był już sztabskapitanem.

Przez czas jakiś w Brescji był komendantem miasta i zyskał sobie wówczas takie uznanie mieszkańców, iż ci ofiarowali mu szablę honorową z napisem: „Al cittadino Mallet il popolo Bresciano“. Widocznie więc był względnym i sprawiedliwym dla ludności, nawet w czasie wojennym umożliwiając jej istnienie i owo „równo“, które mu było tak miłe.

Zdaje mi się, że po włosku, tak jak i po polsku, nie nauczył się nigdy, chociaż przyszłoby mu to z większą łatwością, ale mógł się zapewne porozumiewać z narodem szczepu łacińskiego, tem bardziej, że język prowansalski jest zbliżony do języka włoskiego i do gwar miejscowych. O Włochach wyrażał się zawsze bardzo przyjaźnie, lubił ich spryt, szybkość pojęcia. Jako południowiec, miał wspólny z nimi temperament i gusta, nawet kuchnia włoska, do prowansalskiej podobna, smakowała mu więcej, niż francuska. W potrawach, jakie kazał sobie przyrządzać, odznaczało się włoskie prawo obywatelstwa.

Przeniesiony do armji reńskiej, a potem do helweckiej, ojciec mój dał poznać swoje zdolności inżynierskie różnymi projektami, które zyskały uznanie w ministerjum wojny i zwróciły na niego uwagę, jako na jednego z najzdolniejszych młodych oficerów. A że przytem posiadał rozum i gorliwość, powierzano mu misje trudne, wymagające tych przymiotów, a z tych misji wywiązywał się zawsze jak najlepiej, jak świadczą o tem rozkazy dzienne i listy prywatne.

Pod Feldkirchen był delegowany w czasie zawieszenia broni, do oznaczenia wspólnie z oficerem austrjackim granicy, w jakiej armje nieprzyjacielskie trzymać się miały w czasie jego trwania. Jak dobrze zaś wywiązał się z zadania, świadczy następujący list generała Dumasa, naczelnika sztabu głównodowodzącego w armji helweckiej z dnia 29 grudnia 1800 roku:

„C'est avec une juste et véritable satisfaction, mon cher Capitaine, que j'ai l'honneur de vous transmettre un témoignage de celle du Général en chef, pour le zèle et l'activité, que vous avez montré dans divers travaux et dans les reconnaissances, dont vous avez été chargé, pendant que l'avant-garde de l'armée occupait la position de Feldkirchen et la vallée de Montafo. Le Général en chef me charge de vous faire compter sur les fonds, déstinés aux dépenses extraordinaires de l'année, une somme de deux cents quarante francs en gratification. J'espère avoir dans le cours de cette campagne de nouvelles occasions d'employer vos talents et de faire valoir vos services“[1]). Podpisano: Mathieu Dumas.

Możnaby powiedzieć, że nagroda była bardzo mała w stosunku do zasług i pochwał; ale wiadomo, że wojska Rzeczypospolitej francuskiej nie obfitowały w mamonę, i widać to dobrze, skoro generał, zawiadamiając o tym radosnym fakcie, łączy swoje powinszowania. Przeniesiony do Moguncji, ojciec mój przebywał w niej czas dłuższy i wówczasto został zaproszony na członka Towarzystwa nauk fizyczno-matematycznych.

Za Cesarstwa uczestniczył w kampanji przeciw Prusom. Wzięty w niewolę pod Eylau, przebywał czas jakiś w Rydze. Zapewne w powrocie z tego miasta, zatrzymał się w Polsce. Powody są mi niewiadome, ale ślad tego pobytu znajduję w liście Łuszczewskiego, ministra spraw wewnętrznych w Księstwie Warszawskiem z roku 1808, w którym wyraża ojcu gorące podziękowanie z powodu planu mostu na Wiśle, jaki nakreślił.

Może ten pobyt w Warszawie był w związku z przeniesieniem ojca do Polski, bo w r. 1809 został mianowany przez cesarza Napoleona oficerem instruktorem inżynierji, w tworzącem się wojsku Księstwa Warszawskiego. Może też na ten wybór wpłynęła ważna praca o zakładaniu min, o której wyraża się z wielkiem uznaniem pułkownik inżynierji, de Luzy, oraz kilka prac innych, okolicznościowo wspomnianych. Zwróciły one uwagę na zdolnego oficera. Dość, że od tego roku pozostał w Polsce. (D. c. n.)

[1]) Z prawdziwą radością, kochany kapitanie, mam zaszczyt przesłać ci wyrazy zadowolenia generała głównodowodzącego, z powodu czynnej gorliwości, okazanej w rozmaitych robotach i rekonesansach, jakie ci były powierzone, w czasie, gdy awangarda armji zajmowała pozycje Feldkirchen i dolinę Montafo. Generał głównodowodzący kazał ci wypłacić z funduszów, przeznaczonych na tegoroczne wydatki nadzwyczajne, sumę dwustu czterdziestu franków gratyfikacji, a mam nadzieję, że w ciągu tej kampanii będę miał nieraz sposobność korzystania z twoich zdolności i chwalenia twych zasług.

EDMUND LIBAŃSKI.

POPULARYZACJA SZTUKI.

(Ciąg dalszy).

Sztycharz ma dziś do dyspozycji różnorodne narzędzia, oprócz rylca używa dłuta do skrobania, ruletę (kółko gęsto najeżone stalowemi kolcami), punce (do wybijania dziureczek), młoteczek do matowania powierzchni i t. p. rozmaitego kształtu i rozmaitej wielkości przyrządy. Dla otrzymania reprodukcji w gładkich półtonach, wynalazł L u d w i k S i e g e n (1609—1676) odmienną technikę, nazwaną we Włoszech „M e z z o-T i n t a“ (gravure en maniere noire), dosłownie możnaby ją nazwać sztuką rytowania w czarnem.

Gładko polerowaną płytę trzeba przedewszystkiem przemienić w chropowatą; uskutecznia się to wąskim, ząbkowanym, stalowym wałkiem; kolebkowym ruchem prowadzi się to narzędzie, jednostajnie przez całą płytę w kilku kierunkach.

Ząbki wyciskają drobne punkciki na powierzchni i ta staje się delikatnie matową; gdybyśmy odbili taką płytę, mielibyśmy obraz zaczernionej powierzchni, przez gęsto posiane czarne kropki. Na przygotowaną w ten sposób płytę przenosi się rysunek (obraz); następnie dłutowym rylcem wyskrobuje artysta światła zupełnie gładko, półcienie zaś przez słabsze lub mocniejsze wygładzanie odnośnych partyj ziarnistej powierzchni. Niemcy nazywają tę technikę S c h a b k u n s t (sztuka skrobania).

Płyta, tak obrobiona, przytrzymuje farbę tylko na ziarnie (chropowatościach), wygładzone miejsca odbijają się jako światła; inne, silniej lub słabiej skrobane, jako rzadsze lub gęstsze półcienie. Na takiej skrobanej płycie światła znajdują sie najgłębiej a głębokie cienie najwyżej, wprost odwrotnie, jak przy zwyczajnym sztychu.

Na reprodukcji w „mezzzo-tinto“ są zarysy miękkie; tony zlewają się łagodnie, na obrazie znać symetrycznie krzyżujące się linijki, wywołujące złudzenie struktury płóciennej. Sztukę tę przyswoili sobie na wielką skalę artyści angielscy, manierę tę nazywają także „angielską“, nadaje się ona wybornie do reprodukcji obrazów olejnych.

Sztych k r e d k o w y „francuski“ jest tylko odmianą akwaforty; dla wytrawienia wykonuje się rysunek punktami, za pomocą igiełki lub rulety — odbitka ma charakter rysunku wykonanego kredką. Niektórzy słynni artyści posługują się przy pracy swej, małemi zmianami techniki akwaforty, tworząc obrazy z piętnem indywidualnej twórczości i właściwej techniki. Felicjan R o p s, genjalny satyryk rytuje w manierze zwanej: „au vernis mou“ — rysunek trawiony, kreślony jest w linjach miękkich i szerokich.

Tak jak w sztuce m e z z o - t i n t o, rytowane linje cieni zastępuje się płaszczyznami w gładkich półtonach, tak usiłowano zastąpić wytrawiane linje w akwaforcie, wytrawianymi gładkimi, zlewającymi się tonami. Technika ta zwie się a k w a t i n t ą (gravure au lavis).

Na płycie znaczy artysta, podobnie jak przy akwaforcie, ale nader lekko, główne zarysy obrazu, dla uzyskania jednak całokształtu malarskiego wrażenia nie rytuje szczegółów, lecz w y t r a w i a je w szerokich płaszczyznach, za pomocą pędzla, i pokrywania lakiem w miarę potrzeby. Zdawałoby się teraz, iż oddawszy tak przyrządzoną płytę do odbijania, otrzymamy odcisk, w którym najgłębiej trawione partje będą najciemniejsze, płytsze jaśniejsze a wypuklenia będą światłami.

Tymczasem daremne będą usiłowania! Nie otrzyma się kopji z takiej płyty, farba nie wypełni wgłębień gładkich, nie przyjmujących barwnika. Gładkość musi być usuniętą; powierzchni trzeba nadać chropowatość, zrobić ją ziarnistą, by przyprzyjęła farbę drukarską. Do tego celu służy proszek akwatinty — pył.

Po pierwszej czynności szkicowauia i lekkiego wytrawienia rysunku zmywa się płytę i ziarnuje odpowiednim proszkiem. Rozpyla się na płycie asfalt lub kalafonję, albo też inną mieszaninę żywiczną, która po ogrzaniu płyty, przykleja się do powierzchni. Ogrzanie musi być ostrożne, ziarnka nie powinny się stopić, aby nie nastąpiło złączenie w warstewkę nie przepuszczającą kwasu.

Wytrawiając teraz obraz dalej, otrzyma się ziarniste płaszczyzny; kwas trawi w odstępach między proszkami, ton reprodukcji zależeć będzie od gęstości i wielkości proszku, tworzącego tę chropowatość, która przytrzymuje farbę.

W początkach stosowania tej techniki powlekano płyty pyłem żywicznym, przy pomocy sita, korzystniejszem okazało się używanie pudła, w którem wstrząsa się pył zawarty, a następnie umieszcza miedzioryt. Jeśli wkłada się miedzioryt w to pudło, zaraz po wstrząśnięciu, osadza się pył najgrubszy, gdy się przeczeka trochę, 5 do 10 minut, wtedy, ponieważ warstwy cięższe już osadziły się na spodzie, buja pył lżejszy, płyta uziarni się delikatniej. Artysta ma więc możność stworzenia efektu, kryjąc pewne partje i uziarniając je naprzemian wedle swego poczucia, to wyraziściej to subtelniej, to gęściej lub rzadziej. Gęstość uziarnienia zależy od czasu, przez jaki płyta znajduje się pod opadającym na nią pyłem.

(C. d. n.)

Czy alkohol jest pożywieniem?

(Ciąg dalszy).

I tak dalej, i tak dalej, przez ciąg całego artykułu idą po sobie koleją ustępy trywialne, naiwnością niewiedzy brzemienne. Tak np. autor każe inżynierowi wrzucać węgiel do kotła, zamiast umieszczać go na palenisku pod kotłem; kalorją nazywa jednostkę ciepła, wytwarzającego się w pewnym przeciągu czasu w ciele ludzkiem. Następnie cały, podany przez niego, opis przyrządu, przeznaczonego dla badań fizjologicznych, zdaje się być z umysłu napisany specjalnie dla żurnalu humorystycznego. Oto np. próbka, wyjęta z tego opisu: „W ten sposób wszystkie te objawienia (?!) działalności organizmu, spowodowane pożywieniem, znikają (?) pod formą tą samą, t. j. pod formą (?) ciepła w jednym i tym samym aparacie „calorimètrem" czyli miernikiem ciepła. Paradnym jest także referat o wnioskach ostatecznych, do których doszedł p. Duclaux: „Miał on powiedzieć: „A więc powinniśmy alkohol za sposób, w jakiśmy dotychczas z nim się obchodzili, przeprosić. Pijaństwo? wiem o tem — jest to odwrotna strona medalu. Artykuł spożywczy, postawiony na tak dobrem miejscu, ma, dostając się z tak wielką łatwością do tkanek, prócz swych dodatnich także ujemne strony. Używajcie więc, nie nadużywajcie go!" (Bądźcie złoczyńcami, ale umiarkowanymi! Śliczny morał!)

Ma też autor i słowo pociechy dla przeciwników poglądu p. Duclaux, gdy powiada: „Ma się rozumieć, że powyższa teorja (?) i jej dowód (??) znalazła (?) w gronie równych p. Duclaux wiedzą i stanowiskiem mężów sporo przeciwników. Nie chcę, dla braku miejsca, wymieniać detajlicznie także wywodów i wyników badań tych panów; chcąc jednak zarazem dla licznych zwolenników „Eleuterji", którzy, po przeczytaniu tego artykułu, może posmutnieli, znaleźć przynajmniej kilka „słów pociechy", zakończymy słowami, wypowiedzianemi przez jednego z owych przeciwników. Nie ma — powiada prof. M. Weiss — ani jednego, dobrze stwierdzonego faktu, któryby pozwolił nam utrzymywać, że wprowadzenie alkoholu do pożywienia mogłoby być pożytecznem. Przeciwnie, dużo osób cierpi przez to, że używa go bezwiednie. Nie znam żadnej, któraby żałowała, że się bez niego obejść potrafi."

Przytoczyłem skrupulatnie wiązankę całą kwiatów stylistycznych i rozumowych p. F. R. i sądzę, że mi każdy przyzna słuszność w zdaniu, iż tylko uprzednio wymienione motywy mogły skłonić redakcję do wydrukowania artykułu rzeczonego. Redakcja „Słowa Polskiego" widocznie chciała nawet przy pomocy tego koszlawego i ze wszech miar niedołężnego artykułu przekonać czytelników, że dotychczasowe badania nad działalnością alkoholu, uznające trunki wyskokowe za truciznę, są błędne i że przeciwnie alkohol jest pożywieniem równie doskonałem, jak cukier, mączka etc., taką doniosłość ma w oczach moich fakt, że redakcja pomieściła artykuł pana

F. R. Niestety, czyniła to ona z pospiechem niefortunnym, kierowana najwidoczniej temi samemi obawami, jakie wypowiedział p. F. R. w w następującem zdaniu: „W dzisiejszych czasach — powiada on — o alkoholu jedno tylko wśród publiczności znajdujemy zdanie: „jest on trucizną, którego miejscem jest jedynie apteka.“ To jest okrzyk ogólny. Obawy szynkarzy są zrozumiałe, ale że redakcja zdradza bojaźń taką, to jest już rzeczą niezrozumiałą.

(C. d. n)

Dr. B. Dybowski.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Na bezdrożu.* Ze wspomnień lekarza. W. Weressajew. Z oryginału rosyjskiego przełożył Włodzimierz Perzyński. Lwów, 1903. Nakładem księgarni H. Altenberga.

Gdy w „Spowiedzi lekarza“ odmalował Weressajew w bardzo czarnych barwach bezsilność sztuki lekarskiej wobec wielu cierpień, to w tej nowej powieści stara się wykazać, że medycyna nawet w tym zakresie, w którym mogłaby pożytecznie i skutecznie działać dla dobra ludzkości, napotyka często na przeszkody nie do przezwyciężenia. W chorobach zakaźnych nauka odkryła przyczynę cierpienia, zbadała i wskazała sposoby niszczenia bakterji; ścisłe wykonanie wskazań nauki jest w stanie stłumić w zarodku najgroźniejszą epidemję, a tym jednostkom, które uległy zakażeniu, dopomódz do zwycięskiej walki z bakterjami zabójczemi. Lecz — niestety — świetne wyniki badań lekarskich nie przynoszą należytego pożytku, bo lud nie rozumie ich znaczenia i doniosłości, skutkiem wiekowej ciemnoty stawia opór zbawiennym zarządzeniom sanitarnym, a nawet rzuca się na ich wykonawców, którzy często życiem muszą przypłacić swe poświęcenie dla dobra cierpiącej ludzkości. Medycyna przyszła tu ze swemi odkryciami i zdobyczami za wcześnie i trzeba nasamprzód dla racjonalnego zwalczania epidemji przygotować grunt przez szerzenie oświaty między ludem i przez ekonomiczne podniesienie warstw ludowych.

Taka jest myśl przewodnia powieści „Na bezdrożu“. Głównym jej bohaterem jest młody lekarz, zniechęcony zupełnie do życia, odczuwający jego czczość, poszukujący napróżno jakiejś wytycznej idei, dla której wartoby żyć i pracować. Życie nie przedstawia dla niego wartości, gotów jest każdej chwili z niem się pożegnać i to lekceważenie życia powoduje go, że szuka śmierci, pomimo wątłych sił fizycznych rozpoczyna uciążliwą i terającą zdrowie praktykę na prowincji, naraża się na tyfus plamisty, który szczęśliwie przebywa, a wreszcie zaraża się suchotami i bez najmniejszego żalu spostrzega, że rychły czeka go koniec. Na wiadomość o wybuchu strasznej epidemji cholery, gdy inni usuwają się z posterunku, on biegnie na punkt najwięcej zagrożony z zupełną świadomością, że spotka go tam śmierć nie od przecinkowców cholerycznych, lecz od wzburzonego przeciw lekarzom tłumu. Przez kilka tygodni poświęca wszystkie siły na ratunek chorych, po części zdobywa sobie uznanie, nawet przywiązanie wdzięcznych ozdrowieńców, ale ciemny tłum, rozpojony wódką, podżegany zabobonnemi wieściami, napada go i rani śmiertelnie. Widząc zbliżający się zgon, zrazu boleje strasznie nad niewdzięcznością ludzką, później jednak usprawiedliwia tych biednych, wynędzniałych, ciemnych ludzi, a zastanawiając się nad swem postępowaniem, poznaje w końcu, że do pracy i ofiary pchało go nie lekceważenie śmierci, lecz mimowiedna głęboka miłość bliźnich. Ta myśl, jak jasny promień, rozświeca cienie zwątpiałej duszy, koi gorycz serca i u samego schyłku odsłania mu cel życia, godny wysiłków, rozczarowań bolesnych, poświęcenia bez granic. Przeświadczenie, że, mimo zwątpień, w rzeczywistości służył wedle sił temu celowi, że życie oddał na usługi biednych i ciemnych, przejmuje go błogim spokojem w obliczu śmierci. A czyniąc niejako testament ze swych przekonań, które dopiero teraz tak mu się jasno ujawniły, poucza płaczącą u jego wezgłowia przyjaciółkę, „żeby kochała ludzi, żeby kochała lud, że nie trzeba tracić nadziei, ale pracować z wytrwaniem, ciężko pracować i wciąż iść naprzód, bo pracy strasznie dużo...“ *M.*

NOTATKI. *W Muzeum narodowem* w Krakowie otwarto dział zabytków XVIII. w. Mieści się on w osobnym pokoiku, uzyskanym za pomocą przedzielenia ruchomemi ścianami wielkiej sali, przeznaczonej dla sztuki retrospektywnej. Zarząd Muzeum narodowego, kierując się zasadą, przyjętą w muzeach zagranicznych, urządzonych postępowo, starał się zabytki XVIII wieku wystawić razem, bez względu na ich rodzaj, materjał i technikę. Tylko w ten sposób da się odtworzyć nastrój epoki, który zwiedzającym ułatwi wniknięcie w charakterystyczne cechy poszczególnych dzieł sztuki. Materjał nie jest obfity, ale bardzo interesujący i pierwszorzędnej — jak na nasze stosunki — wartości. Na ścianach rozwieszono obrazy Bacciarellego, Lampiego, Pitschmanna, Grassiego, Czechowicza, Smuglewicza itp. Oprócz obrazów, zwracają uwagę dwie cenne mensy w stylu rokoko, pozyskane w ostatnich czasach i odrestaurowane w pracowni Muzeum, oraz przedmioty, wchodzące w zakres kultury, jak np. piękne jasełka z daru śp. Katarzyny Okoniowej, umieszczone w starej oryginalnej szafie, zegar z roku 1704, kołyska rokokowa, kołowrotek, pochodzący z jednego ze starych polskich dworów, zegar słoneczny z herbami Radziwiłłów, oraz piec gdański z r. 1737. — Ilustrowany katalog tego działu ukaże się niebawem.

(Przewodnik Bibljograficzny).

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego l. 8.